

Bramy do piekła

Ołeksij Czupa

Dziadek miał około osiemdziesiątki. – Pod tą flagą wywalczyli Sewastopol, dopieprzyli Turkom i Austriakom – wykrzyczał, wskazując na flagę Imperium Rosyjskiego, przypiętą do kurtki. – Pod tą flagą dopieprzyli faszystom w 1945 roku – dziadek uderzył się w serce, gdzie miał przyczepioną flagę radziecką. – A pod tą – dotknął swojego ramienia z flagą Rosji – dopieprzymy wam, banderowcom.

Wojna w Donbasie. Nie mam pojęcia, jak się to wszystko skończy. Ale bardzo dobrze pamiętam, jak to wszystko się zaczęło. Mieszkałem tu od zawsze – urodziłem się w Makijewce, miasteczku oddalonym od Doniecka o 20 kilometrów. Nie wyjeżdżałem stąd na dłużej niż miesiąc. Tu skończyłem szkołę. W jaki sposób świat, w którym dorastałem, przerodził się w pole walki, a potem otwartej wojny?

Wydawałoby się – nic prostszego. Była sobie garstka intelektualistów, wyznawców zachodnich wartości, czytających klasykę literatury światowej, byli gotowi z pustymi rękami wyjść na mróz i dostać po mordzie za swoje przekonania.

I byli też oni: później nazwani separatystami. Bardzo różni – każdy miał swoje problemy dnia codziennego, każdy miał pokaleczone życie i zaciskał w dłoni jakiś fragment armatury.

W czasie, kiedy my zaczytywaliśmy się w Kafce, Pawiczu (serbskim pisarzu) czy Salingerze, oni spędzali czas w siłowniach, albo jeszcze gorzej: w swoich blokowiskach zajmowali się drobną przestępczością bądź po prostu rozbojem. To byli chłopcy, którzy przyzwyczaili się łamać prawo i zwyczajnie z tym żyli.

Czy próbowali Państwo kiedyś dyskutować z człowiekiem, dla którego przemoc jest codziennością i ma on na sumieniu już tyle, że powinien zgnić w więzieniu? Czy próbowali Państwo opowiadać o integracji europejskiej i takich wartościach, jak: pluralizm polityczny i demokracja, ludziom, którzy nawet nie potrafią tych słów prawidłowo wymówić? Czy ktoś z Państwa wie, jak się rozmawia z osobami z Makijewki i Doniecka? Ktoś, kto tego próbował, nie zadaje sobie już tych wszystkich głupich pytań. I rozumie jedno: nasze życie w Doniecku to udręka.

Głosy za kaszę gryczaną

Bo cały Donbas jest jednym wielkim siedliskiem żuli i dresiarzy. Oczywiście, są miejsca bandyckie i miejsca spokojniejsze, ale ogólnie mieszkańcy Donbasu chlubią się przemocą. Mówienie o podziale na Ukrainę zachodnią i wschodnią to banał, jednak we Lwowie nawet dresiarze są bardziej inteligentni.

Jednak i tak, przez całą ubiegłą zimę żyliśmy nadzieją. Nadzieją na cud, nadzieją, że zadziałają czary, że zbawi nas Mesjasz. Czekaliśmy na Zbawcę, który przyjdzie i uleczy wszystkich chorych mieszkańców Donbasu, sprawi, że wstąpią na Jego drogę, tak daleką od drogi, którą podąża ich guru: nowo narodzony imperator – Władimir Władimirowicz.

Tymczasem wszystkich tych chorych nieuleczalnie separatystów należało stłuc na kwaśne jabłko albo siłą myśli katapultować w stronę Rosji – im dalej, tym lepiej.

Dopóki na kijowskim Majdanie stało miasteczko namiotowe, dopóty sytuacja w Doniecku przypominała jazdę na karuzeli: przychodził do nas – ludzi zbierających się na placu – gubernator, albo mer, aby prowadzić z nami wiążące dysputy; a jednocześnie jakieś typy spod ciemnej gwiazdy przez całą dobę nas śledziły w pobliżu placu, by wieczorem przypuścić atak na mityng. Oczywiście, rozwój sytuacji w Doniecku zależał od tego, jak zakończy się sprawa z Majdanem w Kijowie, a tego nikt nie mógł przewidzieć.

Oświeciło nas – jak to bywa – nagle i boleśnie, jakby ktoś nam przywalił.

Cóż tu ukrywać, mieszkańcy Doniecka w większości byli zachwyceni, kiedy Berkut pałował protestujących w stolicy. O zabójstwie, rozpędzeniu, wdęptywaniu ich w asfalt mówili z podnieceniem w oczach. W pewnej chwili nabrałem nawet przekonania, że przeciętny mieszkaniec Doniecka nie widzi żadnych innych możliwości rozwiązania problemu protestów.

Mieszkańcy mojego miasta być może rozumieli żądania studentów, które złożyły się na „rewolucję wartości”, być może nawet w pewnym stopniu je popierali. Przecież to wartości uniwersalne. Jednak fakt, że realizacja tych postulatów *de facto* miała oderwać Ukrainę od Rosji – był dla nich nie do przyjęcia. I nie dlatego, że Donieck był związany z Rosją duchowo, a dlatego że Donieck był ściśle związany z Rosją gospodarczo.

Dla mieszkańców mojego miasta – przez dwadzieścia trzy lata niepodległości Ukrainy – wartości uniwersalne nigdy nie były ważniejsze od wysokości pensji i emerytur. To każdy wiedział. W Doniecku głosy sprzedawało się za kaszę gryczaną.

Tu – jak na dłoni – widzimy, jaką rolę odegrali obywatele Rosji w wydarzeniach w Donbasie: otóż hasło „O świętą Ruś” dla przeciętnego mieszkańca Donbasu nic nie znaczy. Tymczasem dla Rosjanina, który wyrósł na szowinistycznej propagandzie,

to słowa święte. Do czasu, aż Janukowycz zbiegł z kraju, na wschodniej Ukrainie nie mówiło się tym, że ma nastąpić rozerwanie duchownych więzi łączących kraj nad Dnieprem z Rosją. Ludziom kładli do głowy jedynie takie oto informacje: „Moskwa wypowie nam kontrakty”, „staną fabryki”, a „pensje (jeśli w ogóle będą wypłacane) zostaną uszczuplone”. I tyle. Nie było żadnej tam Rusi i Rosji na chorągwiach.

Czy próbowali Państwo kiedyś mierzyć się w dyspacie z człowiekiem, dla którego przemoc jest codziennością i ma na sumieniu już tyle, że powinien zgnić w więzieniu?

Po tragicznych wydarzeniach na kijowskich ulicach: Bankowej i Hruszewskiego, gdzie padli zabici, okazało się, jak zgubny jest fakt, że Donbas ogląda przede wszystkim rosyjską telewizję. Ukraińska przestrzeń medialna nie może konkurować z przekazem rosyjskim na tym terytorium. A o czym mówiła rosyjska telewizja zimą 2013/2014? Telewizja ta przekształcała widzów

w ludzi chorych psychicznie. Pokazywała protestujących na Majdanie pijących wiadrami krew niewinnych rosyjskojęzycznych, a także świętych funkcjonariuszy Berkutu, ochraniających ojczyznę przed faszystowską gawiedzią.

Propaganda odwoływała się do tego, co jest najświętsze w świadomości radzieckiego człowieka (a mieszkańcy Donbasu bez dwóch zdań są ludźmi radzieckimi): mówiono o zwycięstwie nad faszyzmem w 1945 roku. I ta retoryka wygrała. Była cyniczna, ale także „genialna” w swej istocie. W duszy radzieckiego człowieka odzywa się bowiem coś ze sfery *sacrum*, kiedy tylko słyszy słowa: faszyzm, ojczyzna, honor. Samo w sobie jest to piękne, jednak ten zarodek „patriotyzmu”, sztucznie hodowany przez rosyjską propagandę dla swoich celów, w kwietniu bieżącego roku zaczął przypominać Obcego – filmowego bohatera horroru. Słaba, poraniona klatka piersiowa Ukrainy łatwo się otworzyła i ukazał się krwawy, obrzydliwy Obcy.

Kiedy więc Donieccy (dresiarze) zobaczyli, jak Berkut rozprawia się z protestującymi, wybuchli radością. „I co tam było łączyć?”; „Pracować trzeba, a nie siedzieć na Majdanie” – dało się słyszeć.

A wyżyć się musieli

Szczególnie uparci mieszkańcy Doniecka, nawet w ten tragiczny dzień, kiedy w Kijowie padły strzały, byli pewni, że wszyscy protestujący są opłakanymi amerykańskimi szpiegami. Ponad setka ludzi, która oddała życie za idee, chłopcy, którzy z drewnianymi tarczami szli na Specnaz i pchali się pod kule – to nie wprawiało Donieckich w zakłopotanie. W ich głowach wszystko to się jakoś poukładało.

Później wydarzyło się coś strasznego. Protestujących, czyli „opłakanych szpiegów amerykańskich”, te trupy nie zatrzymały, nikt nie bał się kul. Bać zaczął się natomiast

Janukowycz. Kolejnego dnia Berkut wycofano ze stolicy, a „ojczulek” Wiktor Fedorowicz, zabierając ze sobą narodowe dobra, uciekł za granicę. Donieccy chodzili tego dnia, jakby ktoś ich opluł, pobił. Okazało się, że Berkut to nie „bohaterzy-obrońcy ojczyzny”, a jedynie osobista gwardia prezydenta. A prezydent to potwór – olał swoich, jak mówi się w półświatku.

Majdan zwyciężył. Donbas znów był w dupie. Miejscowi przedstawiciele Partii Regionów nie mogli więc już pojechać na demonstrację do Kijowa, żeby się wyżyć, a wyżyć się musieli.

Pozostali im donieccy aktywiści. W pierwszą sobotę, po tym jak rozstrzelano ludzi na ulicy Instytuckiej w Kijowie, i po tym jak Janukowycz uciekł z kraju, proukraińscy aktywiści zwołali w Doniecku mityng upamiętniający ofiary dyktatora. Nasz pech – to było 23 lutego, w „dzień radzieckiej armii”. Święto to nazywa się oficjalnie Dniem Obrońców Ojczyzny – było obchodzone w czasach radzieckich. Poniżeni kolejnym zwrotem historii mieszkańcy Donbasu zapragnęli krwi w Doniecku.

Wystarczyła ta odświętna czerwona kartka w kalendarzach, to ona wzywała ludzi do bohaterskich czynów i nakazywała znaleźć wroga, przed którym należy obronić cierpiącą ojczyznę. Ten fakt mało kto ukrywał, choć dla ocalenia godności podawano kilka przyczyn wyjaśniających, z jakiego powodu należy zabijać ludzi, którzy w centrum miasta pojawiają się z ukraińskimi flagami. Analiza tych „przyczyn” przybliży nam społeczeństwo, które utorowało drogę do powstania Donieckiej Republiki Ludowej.

Po pierwsze, ludzie ci byli pewni, że zamierzamy przejść budynek miejscowej administracji. Nie stać ich było, by „uruchomić mózg” i zrozumieć, że przez całą zimę zbierało się nas nie więcej niż trzystu ludzi: trzystu Spartan – powiedziałby ktoś patetycznie – i że jest to niewystarczająca garstka dla takich

Dla mieszkańców mojego miasta wartości uniwersalne nigdy nie były ważniejsze od pensji i emerytur. W Doniecku głosy sprzedawało się za kaszę gryczaną.

czynów. Bowiem biorąc pod uwagę wszelkiego rodzaju „rewolucyjne miary”, nie mogliśmy zagrozić reżimowi. Kilkuset ludzi – nastawionych pokojowo – w żaden sposób nie może pokonać schizofrenicznego tłumu, nie może też zająć budynków administracji miejskiej i więcej: utrzymać się w nich. Późniejsze wydarzenia w Charkowie pokazały, że jest to po prostu niemożliwe.

Jednak 23 lutego wielu nastrojonych prorosyjsko „obywateli” zebrało się w celu obrony budynku administracji. BRONIĆ – to należy napisać wielkimi literami. Właśnie obrona – czegokolwiek konkretnego: budynku miejscowej administracji, pomnika Lenina, Noworosji – przed czymś niezdefiniowanym, niezrozumiałym i dlatego też strasznym (czyli nami, a nazywają nas prawosektorowcami, amerykańskimi najemnikami, juntą) legła u podstaw ideologii Donieckiej Republiki Ludowej. Obrona

nie ma sensu, kiedy nikt na ciebie nie napada – dlatego też propaganda musiała stworzyć wroga.

A więc trzeba się bronić. Trzeba bronić administracji, którą ludzie ci zawsze przeklinali za to, że ich okrada. Bronić jej przed trzystoma osobami w mieście liczącym milion mieszkańców, w mieście, które ma sprzedajną milicję, a aparat miejscowej administracji sympatyzuje z separatystami. Czy to nie brednie?

Poza tym, przecież byliśmy uważani za faszystów. Tu należy się wyjaśnienie: faszystą (w oczach przedstawiciela *russskogo mira*) jest każdy, kto nie podziela jego poglądów na sytuację geopolityczną. To uogólnienie jest najlepszą wykładnią faszyzmu. Czyż nie tak jest?

**Obrona – czegokolwiek: budynku
miejscowej administracji, pomnika
Lenina, Noworosji – przed nami,
a nazywają nas prawosektorowcami,
legła u podstaw ideologii Donieckiej
Republiki Ludowej.**

Rosjanin (oderwany od matki Rosji) nazywa cię faszystą wprost proporcjonalnie do przyjmowanej przez niego dawki rosyjskiej propagandy. Okres 18-23 lutego 2014 roku to czas patriotycznej histerii rosyjskiej telewizji, a także mieszkańców Donbasu – dodajmy: Donbasu „którego nikt nie słyszy” – bo tak właśnie oni twierdzą. Ludzie w mieście

chodzili nakręceni jak spirale. Tego dnia najmniejsza głupota mogła spowodować, że człowiek stawał się ich ofiarą. Przecież z faszystami nie da się inaczej.

I wreszcie: oni nas nienawidzili. Nawet bez Majdanu. To była nienawiść fundamentalna, która nie wynikała z języka czy tożsamości narodowej – to pojawiło się później. Tu chodzi o odbiór rzeczywistości. Ci ludzie, żyjący przeszłością, w państwie, które istniało jedynie w ich głowach, upatrywali swoich wrogów w młodym pokoleniu. W pokoleniu, które śmiało zabierać głos i wpływać na bieg wydarzeń. My – młodzi – uświadamialiśmy im wciąż, że ich czas mija. Uświadamiamy im, że są starymi fanatykami-cyborgami z przerdzewiałymi mechanizmami. Niedługo zostaną wyrzuceni na śmietnik, a my zajmiemy ich miejsce.

Na chłodno to, co stało się później – powstanie Donieckiej Republiki Ludowej, było obronną reakcją pokolenia, które kłęczało u trupa swojej ojczyzny, idealizowanego ZSRR. Była to próba uchwycenia się ostatniej iluzji, że ty możesz jeszcze o czymś decydować. Jest mi ich żal. Jeśli teraz zawali się moja Ukraina, za dwadzieścia lat będę taki sam – to nieuchronne. Nie chcę o tym myśleć.

Takie były początki Donieckiej Republiki Ludowej: tłum nakręconych przez propagandę ludzi, gotowych zabijać po to, by tylko wróciła przeszłość, pojawił się w centrum europejskiego miasta.

* * *

Przyjechałem do Doniecka na godzinę przed mityngiem. Z separatystami spotkałem się już w marszrutce – oni nie krępowali się niczyją obecnością i przed nikim się nie ukrywali. Uzgadniali między sobą plan i rozmawiali przez telefony komórkowe. Przygotowywali się, by „zabijać banderowców”.

Wyszedłem na ulicy Przybrzeżnej, przeszedłem się po placu Lenina. Jeszcze w moich studenckich czasach było to miejsce, gdzie zbierał się różnego rodzaju „margines polityczny”. Choć – kiedy spojrzemy na Donieck – nie był to do końca margines. Komuniści i ludzie popierający populistkę Natalię Witrenko byli wybierani do Rady Miejskiej, a tam sobie imprezowali. Komunistów było z każdym rokiem mniej, ale pod Leninem regularnie organizowali „złoty” – w rytmie przypominającym święto, coś jak niedzielne nabożeństwo. Ludzie od Witrenko nie wylewali za kołnierz. Zdecydowali się na działalność w podziemiu – nie widziałem ich chyba sześć lat. Ale teraz wyszli.

Karykaturalni kozacy, zapite mordy, bełkocące coś o wielkim rosyjskim narodzie, bezzębni oberwańcy, święcie przekonani, że ktoś ich prześladuje. Rosyjskie flagi w ukraińskim mieście: „Boże, chroń cara”, „*Sojuz nieruszymy*” (pierwsze słowa hymnu ZSRR) powiewają jedna koło drugiej. Ktoś otworzył bramy piekieł.

Patrzyłem na to morze flag i chciałem zatrzymać wzrok na czymś nieruchomym. Niczego takiego nie było. Przy wyjściu z placu stał starszy pan. Dziadek był siwy i o lasce. Zwykły dziadek – takich są tysiące. Co mnie zdziwiło? Z lewej strony, na piersi dziadek miał wstążkę z herbem ZSRR. Z prawej wstążkę

Rosyjskie flagi w ukraińskim mieście: „Boże, chroń cara”, „*Sojuz nieruszymy*”, powiewają jedna koło drugiej. Ktoś otworzył bramy piekieł.

z kolorami oznaczającymi flagę dynastii Romanowów, na rękawie wstążkę z flagą Rosji – trzy kolory: biały, niebieski, czerwony. W jaki sposób wszystkie te symbole – nawzajem się wykluczające – mogą znajdować się na jednym mężczyźnie? Nie mogłem się nadziwić. Tymczasem dziadek zauważył, że z uwagą mu się przyglądam.

– Czemu się patrzysz? – zapytał i podszedł do mnie.

– A tak się patrzę. Ładne ma pan wstążki. Tylko dlaczego przyczepił je pan wszystkie jednocześnie?

– To kolory mojej ojczyzny – wykrzyczał dziadek.

Oceeniłem na oko. Dziadek miał około osiemdziesiątki – czyli wstążka symbolizująca Imperium Rosyjskie nie mogła „być częścią kultury” jego rodzinnego domu.

– Pod tą flagą wywalczyli Sewastopol, dopieprzyli Turkom i Austriakom – wykrzyczał dziadek, wskazując na flagę Imperium Rosyjskiego. – Pod tą flagą

dopieprzyli faszystom w 1945 roku – dziadek uderzył się w serce, gdzie przypięta była flaga radziecka. A pod tą – dziadek dotknął ramienia z przyczepioną flagą Rosji – dopieprzyśmy wam, banderowcom.

– A skąd panu przyszło do głowy, że jestem banderowcem?

– Banderowiec, do cholery. Dużo was się teraz namnożyło. Ale nic. Wszystkich was wyrzniemy.

– Hm, jaki ze mnie banderowiec. Jestem zameldowany w Doniecku.

– Was jest teraz wszędzie pełno. No nic.

Dziadek, za moimi plecami, dał komuś znak. Zrozumiałem, że czas się zbierać, ale na odchodnym rzuciłem jeszcze:

– Wie pan, te wszystkie wstążki, które pan sobie przypiął, nawzajem sobie przeczą. Cóż mogą one znaczyć? Nie rozumiem.

– One znaczą, że jestem Rosjaninem.

Usłyszałem te słowa i dotarło do mnie, że trzeba wziąć nogi za pas. Odchodziłem szybkim krokiem – jeszcze minuta i mnie okrąży. Za plecami słyszałem jedynie soczyste przekleństwa.

Minęła godzina. Kilkutysięczny tłum – z taką samą kaszą w głowie jak u spotkanego dziadka – zablokował wyjście z budynku, w którym mieści się administracja miejska. Zmusili gubernatora miasta, by oświadczył, że „Donieck żąda federalizacji kraju”. Staliśmy na skwerku, pod pomnikiem Tarasa Szewczenki. Okrążyła nas milicja i protestujący nastroszeni prorosyjsko – co chwila próbowali rzucić w nas śnieżkami z lodem. Te chwile nie były straszne. Paradoksalnie przyniosły ulgę, bowiem wszyscy zrzucili swoje maski.

W maju spakowałem plecak, na wypadek gdyby się okazało, że trzeba będzie stąd uciekać.

Lato spędziłem w Makijewce, cały czas słyhać było strzały – szybko się do tego przyzwyczailiśmy. W sierpniu strzały były tak silne, że mój dom zaczął się trząść. Jedną noc przespałem w bunkrze. Zabrałem plecak i uciekłem. Z piekła separatystów – przez ich posterunki (blok-posty) – na Ukrainę. Mieszkam teraz we Lwowie. ❄️

Przełożyła Małgorzata Nocuń

Ołeksij Czupa jest ukraińskim pisarzem i poetą młodego pokolenia. Specjalizuje się w opisywaniu subkultur młodzieżowych. Autor książki *Bomży Donbasu* (Diskursus, Iwano-Frankiwnsk 2014).